



Cezary Chlebowski

OSTATNIA WALKA

Oddziałów Wileńsko

Nowogródzkich

Armii Krajowej

z NKWD

21 SIERPNIA 1944 r.

Warszawa 2008 r.

Formatował, opatrzył fotografiami

i do druku przygotował

Janusz Bohdanowicz „Czortek”

Korekta: Ewa Chyża-Dunowska

Adres kontaktowy: Janusz Bohdanowicz
02-647 Warszawa ul. Bachmacka 4 m. 66
Tel. 22-854-05-23, kom.662-249-166
E-mail: janusz40@poczta.onet.pl

Surkonty



mjr Maciej Kalenkiewicz
„Kotwicz”

Równy pół wieku temu, 21 sierpnia 1944 roku, w sobotnie skwarne południe, na polach wokół chutoru Surkonty nad Lidą, w dawnym województwie nowogródzkim, rozpoczął się jeden z najtragiczniejszych epizodów walki oddziałów Armii Krajowej z formacjami wojsk NKWD. Po wielogodzinnych zmaganiach, po stronie polskiej padło w sumie 36 oficerów i żołnierzy (w tym większość dobitych bagnietami po wcześniejszym zranieniu); po stronie sowieckiej

- nie ustalono do końca, ale prawie dwukrotnie większa od polskiej liczba żołnierzy. Bój ten przeszedł do historii Polski jako miejsce śmierci podpułkownika dyplomowanego, inżyniera saperskiego Macieja Kalenkiewicza „Kotwicza”, znanego też stronie sowieckiej (i często tak określanego w ich meldunkach wywiadowczych) jako "bezrukij major". Piękna to postać i piękna - choć tragiczna - była droga, która zaprowadziła ppłk „Kotwicza” na pola chutoru w Surkontach.

Maciej Kalenkiewicz (1906) już przed wojną należał do grona oficerów młodszego pokolenia, zwracających na siebie uwagę dowództwa. Po wrześniowych walkach (w sztabie Suwalskiej Brygady Kawalerii) znalazł się w "Oddziale Wydzielonym WP", legendarnego majora Hubala - Henryka Dobrzańskiego, jako jego zastępca. Tam też spotkał swego brata ciotecznego, podchorążego Józefa Świdę - „Lecha” (co należy tu odnotować, ze względu na późniejsze losy obu oficerów). Źle układające się stosunki między Hubalem, a nowo tworzącą się konspiracją SZP-ZWZ spowodowały, że kpt. Kalenkiewicz już w grudniu 1939 roku został wyznaczony przez Dobrzańskiego jako kurier do Naczelnego Wodza we Francji. Tam (po bardzo krótkiej służbie w Centrum Wyszkolenia Saperów) skierowano go do Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej, której mp. był wtedy Paryż. To on, razem z kpt. Górskim już wtedy wysunęli koncepcję nawiązania lotniczej łączności z krajem i stworzenia

na Zachodzie formacji wojsk spadochronowych dla potrzeb konspiracji w Polsce.

Jako jeden z pierwszych cichociemnych (ekipa nr 2), wylądował w nocy z 27 na 28 XII 1941 r. w kraju. Przydzielony do Oddziału III - operacyjnego Komendy Głównej ZWZ (już przeniesionej z Paryża do Warszawy), służył na tym stanowisku pełne dwa lata (aż do lutego 1944 r.). Tutaj też współdziałał przy opracowaniu różnych wersji "planu 54", przewidującego wybuch ogólnopolskiego powstania.

W końcu 1943 r. do Komendy Głównej (już wtedy) Armii Krajowej, zaczęły dochodzić ze Wschodu niepokojące wieści. Chodziło o zgrzyty i różne przedziwne konfiguracje, powstające w trójkącie Niemcy - AK - Sowieci. Najpierw dramatyczny meldunek wywiadu AK z Puszczy Nalibockiej zelektryzował wieścią, że 1 grudnia zmasowana akcja kilku brygad sowieckiej partyzantki doprowadziła do rozbrojenia polskiego Zgrupowania Nalibockiego, że oficerów zlikwidowano (w rzeczywistości - wywieziono ich samolotem w głąb sowietów), że żołnierzy rozbrojonych wcielono do sowieckich brygad, a opornych wychwytuje się i rozstrzeluje.

Po tym meldunku nadszedł następny, mówiący, że garstka ocalałych z tego brutalnego rozbrojenia żołnierzy AK (17 ludzi na początek), pod dowództwem por. Adolfa Pilcha – „Góry”, tocząc zacięte boje z Sowietami, zawiesiła działania przeciwko Niemcom i otrzymuje od nich broń oraz amunicję.

Te meldunki znalazły swoje odbicie w raportach KG AK kierowanych okresowo do Naczelnego Wodza, gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego. Naczelnny Wódz zareagował natychmiast: (...) *Tragedia baonu Stołpeckiego nie usprawiedliwia późniejszego postępowania, meldowanego przez Nowogródek. Broń na Niemcach należy zdobywać, a nie przyjmować od nich w darze. Oczekuję raportu, kto ponosi za to winę i jakie zastosowano sankcje (...)*

W chwili gdy Warszawa otrzymała ten rozkaz, komendant główny AK już wiedział, że poprzednie meldunki z Nowogródzczyzny nie zawierały pełnego naświetlenia np. tego, że „Góra” istotnie przestał walczyć z Niemcami, aby móc skutecznie unikać likwidacji ze strony kilkunastu tysięcy sowieckich partyzantów w Puszczy Nalibockiej, ale broni od Niemców nie otrzymuje.

Te spóźnione raporty nie przyniosły jednak uspokojenia. Bo oto podobny problem wyrósł po tej stronie Niemna, w okolicach Hołdowa w Nadniemeńskim Zgrupowaniu Partyzanckim AK. Była to formacja bardzo



Gen. Kazimierz Sosnkowski
„Godzięba”



Ppłk Janusz Szlaski
„Prawdzic”

naonczas silna, składająca się z trzech okrzepłych już w walkach batalionów: (I - kapitana „Zycha” - Władysława Żogło, IV - porucznika „Ragnera” Czesława Zajączkowskiego i - w organizacji - VIII - "Bohdanka" porucznika „Jastrzębca” - Władysława Mossakowskiego). Zgrupowanie to w sile prawie 1500 ludzi, także zawiesiło walki z Niemcami - jak mówią meldunki - i przyjmuje od nich broń. Major „Kotwicz” odczuł to bardzo boleśnie. Z Nowogródczyną był związany od urodzenia. Czuł się także odpowiedzialny za obu dowódców: „Górę” - bo cichociemny i także z tego, że miał komendę nad Niemeńskimi Zgrupowaniami. Był nim bowiem, awansowany już do stopnia rotmistrza „Lech” - Józef Świda, cioteczny brat Kalenkiewicza i współwojak od „Hubala”, a że rozkaz Naczelnego Wodza winien być natychmiast wprowadzony w życie, mjr Kalenkiewicz sam zgłosił się do jego nadzorowania. Został więc odwołany z Wydz. Operacyjnego KG AK, mianowany inspektorem KG na Okręg Nowogródzki i wyposażony w



kpt. Adolf Pilch
„Góra” „Dolina”

bardzo szerokie pełnomocnictwa. W lutym 1944 wyjechał na Nowogródczynę.

Po krótkim zapoznaniu się z sytuacją na nowym terenie podjął kroki dyscyplinarne. Wobec „Góry” trudno je było zastosować, gdyż jego rozbity batalion w Puszczy Nalibockiej

dzieliło kilkadziesiąt kilometrów od Hołdowa, czyli miejsca postoju zarówno przybyłego z Warszawy „Kotwicza”, jak i (wtedy) komendanta Okręgu Nowogródzkiego ppłk „Borsuka.” A poza tym drogę do „Góry” przegradzały liczne sowieckie brygady. Zresztą ostatnie meldunki skierowane do Warszawy nie potwierdziły w sposób jednoznaczny winę „Góry”.

Był za to pod ręką „Lech”. Co do jego porozumienia z Niemcami nie istniały żadne wątpliwości, on sam je potwierdzał. Przez dwa tygodnie, od przyjazdu „Kotwicza”, obaj bracia się nie spotykają. Ale jeszcze przedtem nim „Kotwicz” wyruszył z Warszawy, wymienili listy. To wielce dramatyczna korespondencja.

Podjęto ostatnią próbę załagodzenia sprawy. „Lech” otrzymał więc rozkaz od ppłk „Prawdźca” - Jana Szulca (po wojnie - Janusza Prawdźca-Szlaskiego) składający się z dwóch punktów:

- odstąpić od rozmów i zawieszenia walk z Niemcami, zaprzestać przyjmowania broni od nich, zaktywizować działania bojowe skierowane przeciwko Niemcom,
- natychmiast zawiesić wszelkie działania zbrojne wymierzone przeciwko partyzantce sowieckiej.

„Lech” odpowiedział natychmiast, że jest gotów do wykonania, ale tylko pierwszej części rozkazu. Drugiej zaś nie wykona, gdyż jego zdaniem wrogiem nr 1 miejscowej ludności polskiej na tamtym terenie nie są Niemcy, a Sowieci. I nie jest to tylko jego opinia, ale całej kadry oficerskiej i żołnierskiej braci podległego mu zgrupowania.

W tej sytuacji 12 (prawdopodobnie) marca 1944 roku w Szlachtowszczyźnie koło Hołdowa rtm. „Lech” - Józef Świda, dowódca Nadniemeńskiego Zgrupowania Partyzanckiego AK, stanął przed sądem wojennym za odmowę wykonania II części rozkazu (a nie za porozumienie z Niemcami - jak się powszechnie do dziś uważa).

„Lech” się nie bronił, mimo iż praktycznie oskarżał go nie tylko kpt. „Warta”, ale i ppłk „Prawdźca”. Wyrok śmierci przyjął spokojnie. O roli w tej sprawie komendanta Okręgu ppłk „Prawdźca” vel „Borsuka” nie powiedział wtedy ani słowa. „Kotwicz” wyrok zatwierdził, zawieszając jedynie jego wykonanie na okres powojenny, dając jedynie skazanemu prawo do rehabilitacji w boju (rtm. Świda został skierowany do okręgu krakowskiego, gdzie w obwodzie Bochnia jako rtm. „Dzik” wykazał się bohaterską postawą, dowodząc oddziałem partyzanckim).

Na podstawie meldunku przesłanego przez mjr. „Kotwicza” do Warszawy, gen. „Bór” mógł więc zameldować Naczelnemu Wodzowi:

(...Wkroczyłem z całą stanowczością dla zlikwidowania niedopuszczalnej w żadnym wypadku współpracy z Niemcami (...)).

Ale w tym meldunku było tylko pół prawdy. Dwa tygodnie pobytu „Kotwicza” w Nowogródzkiem zorientowały go, że dostrzegł zaledwie wierzchołek góry lodowej. Ponaglany przez KG AK do powrotu, poprosił o pozostawienie go tam, gdzie aktualnie był... w Hołdowie i ku zdumieniu wszystkich, były inspektor KG AK przejął po „Lechu” dowodzenie osieroconym Nadniemeńskim Zgrupowaniem Partyzanckim. Wraz z batalionem przejął także po „Lechu” jego ulubioną siwą klacz.

Maciej Kalenkiewicz bowiem postanowił przeprowadzić generalną sanację tego skądinąd świetnego okręgu.

Szła wiosna. Zbliżał się front wschodni. Dotychczasowy komendant Okręgu, w trosce o swoje wojsko, bombardował KG AK raportami, aby w chwili nadejścia Sowietów pozwolić mu przesunąć się wraz z co bardziej aktywnymi w prowadzeniu zbrojnych starć oddziałami z partyzantką sowiecką - na zachód. „Kotwicz” zaś, choć formalnie tylko komendant trzy batalionowego zgrupowania, myślał prawie globalnie.

Dokonawszy licznych rosząd w jednostkach sztabowych i bojowych, „Kotwicz”, ze wzmocnionym do 600 ludzi batalionem "Bagatelka", ruszy w początku III dekady czerwca 1944 r. ku Wilnu. Czas operacji "Ostra Brama" zbliżał się bowiem wielkimi krokami.

I naraz runęła lawina nieszczęść. 24 czerwca w starciu z mieszanymi siłami niemieckiego batalionu i wspomagającej go kolaborackiej formacji ukraińskiej (plus ostrzał sowieckiej partyzantki zza Niemna), w Dyndyliszkach kula rozniosła prawy łokieć „Kotwiczowi” i trzeba było natychmiast operować rękę. Trzeba też było dobić poranioną "polechową"



kpt. Franciszek Cieplik
„Hartak”

siwą klacz. „Kotwicz” się nie zgodził na amputację ramienia i choć miał ciągle wysoką gorączkę, podejmował walkę za walką, przebijając się uparcie do Wilna. Nie zsiadał z konia, tylko momentami gdy opuszczała go przytomność, pozwalał się podtrzymywać w siodle dwoma luzakom.

Po 5 dobach od otrzymania rany musiał jednak ulec wreszcie dyktatowi lekarzy - gangrena poszła już bowiem tak wysoko, że nie wiadomo było nawet czy pomoże natychmiastowa amputacja.

Po operacji, od 29 czerwca, rana po amputacyjna źle się goiła, „Kotwicz” gorączkował, ale mimo to rwał się ku Wilnu, gdzie lada moment akowcy uderzą. Choroba jednak była silniejsza. Musieli niestety, uderzyć bez niego, siłami, które udało się ściągnąć. I tu także wszystko się sprzysięgło przeciwko jego operacji "Ostra Brama".

Na terenie Nowogródzczyzny były nadal dwa zestawy komendanckie. Pierwszy: nowy – „Poleszuk” – „Siła” - ponaglał marsz batalionów na Wilno, stary - Prawdzic – „Warta” wyznaczał im nie najprostsze drogi.



Ppłk Adam Szydłowski
„Poleszuk”



Mjr Stanisław Sędziak
„Warta”

Na Wileńszczyźnie niespodziewanie szybki marsz Armii Czerwonej spowodował przyspieszenie o dobę uderzenia akowskiego.

„Kotwicz”, złożony gorączką, obserwował z daleka te nerwowe przygotowania.

Mimo ciągle nie zagojonej rany, 17.07 objął komendę nad Podokręgiem Nowogródzkim AK. Akowskie bowiem wojsko miało się tu i tam, i ktoś musiał ująć to w karby. Obok wywożonych do obozów, ci których nie ogarnęły jeszcze obławy NKWD przebijali się grupami lub pojedynczo na zachód, zaś pozostali schodzili do nowej konspiracji.

Funkcję tę objął także z wyraźnie określonym celem: *Pozostaję, by bronić tych ziem i polskiej ludności.*

„Kotwicz” miał w swoim zasięgu prawie 1000 ludzi. Tydzień wcześniej byłby to powód do radości, obecnie mocno to martwiło dowódcę. Trzeba było szybko "odchudzić" z przerostów stany oddziałów. Zadanie niezmiernie ciężkie - żołnierz nie chciał iść do domu.

Major z nie zagojonym ciągle kikutem ręki przesunął się dalej na zachód i doszedł do Puszczy Ruskiej. Po krótkim tam pobycie, dowiedziawszy się, że dwaj dowódcy znanych batalionów nowogródzkich, por. „Kryś” Jan Borysewicz (II/77) i por. „Ragner” Czesław Zajączkowski (IV/77) ukrywają się z częścią swoich ludzi w okolicach Skirejek, postanowił wyjść z lasu i przenieść się w tamtą bezleśną okolicę. W Skirejkach znów zaczął gorączkować. To spowodowało, że teren wokół Skirejek stał się na dłuższy czas miejscem postoju jego i małego sztabu, a także punktem docelowym ciągłego ruchu licznych łączniczek i gońców z całego odradzającego się w konspiracyjnym ruchu okręgu Nowogródzkiego.

Skirejki i niedalekie Surkonty to ziemia raduńska i w przeszłości i dziś niezmiennie polska. Uparta ludność i wtedy i za czasów stalinowskich, i dziś w bardzo wysokim procencie (do 86%) opowiadała się stale za narodowością polską, co przysporzyło jej sporo kłopotów. Ale kraniec tej ziemi, wokół wsi Pielasa, i właśnie Skirejek, na zasadzie dziwnego kontrastu, był i jest najbardziej nam wrogi. To pogranicze dzisiejszej Litwy, obficie zaopatrywało wtedy formacje szaulisów, ponarskich strzelców i kolaboracyjny korpus gen. Pawlisa Plechaviciusa w ochotników i poborowych.

W takim paskudnym sąsiedztwie przyszło „Kotwiczowi” przeżywać nawrót gorączki, a jednocześnie oczekiwać rozkazów czy dyrektyw. A te nie nadchodziły, bo Warszawa od dwóch tygodni płonęła ogarnięta powstaniem.

18 sierpnia 1944 Warszawa skierowała do „Kotwicza” depezę, powiadamiającą go o awansie na podpułkownika, ale dokument ten już do rąk jego nie dotarł.

Przez wiele powojennych lat historycy i badacze snuli przypuszczenie, co do tego, co było bezpośrednią przyczyną dramatu w Surkontach. Jedni przypuszczali, że Sowieci namierzyli radiostację „Kotwicza” dzięki przyjętym 10 VIII 1944 r. "elementom ruchu, zdobytym przy likwidacji radiostacji Okręgu Wilno AK o kryptonimie "Wanda 19". Inni sądzili, że obławę "zaciągnął" na Kotwicza przebijający się ku niemu kpt. „Bustromiak” niedaleko Dubicz (gdzie 1863 roku zginął Ignacy Narbutt).

Istotnie około 40-osobowy oddział „Bustromiaka” natknął się tam na jedno z oczek obławy i w krótkim boju stracił sześciu żołnierzy.

A jednak 21 sierpnia Sowieci na Surkonty uderzyli. Czy były to oddziały "Smiersz" jak wielu do dziś przypuszcza? Nie.

Mam przed sobą meldunek sowieckiego NKWD, wydobyty z mińskiego archiwum przez życzliwych ludzi:

21.08.1944 naczelnik raduńskiego rejonowego Oddziału Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych kapitan bezpieczeństwa państwowego Czikin na podstawie otrzymanych informacji skierował w okolice wsi Surkonty celem likwidacji zgrupowania bandyckiego, Grupę Wywiadowczo-Poszukiwawczą 3 batalionu 32 Zmotoryzowanego Pułku Strzelców (Wojsk Wewnętrznych NKWD - przyp. C. Ch.) pod komendą dowódcy kompanii starszego lejtnanta Korniejki i zastępcy naczelnika rejonowego Oddziału NKWD młodszego lejtnanta Bleskina.

A więc stało się to na skutek otrzymanej informacji, czyli donosu.

Było upalne południe. "Okolica" Surkonty, jak ją wtedy nazywano, to olbrzymia polana z dużymi kępami krzewów, drzew i kilkoma rozrzuconymi wśród nich, w dużej odległości od siebie, poszczególnymi gospodarstwami.

Przybywające 3 lub 4 ciężarówki dostrzeżono w chwili, gdy - po przejechaniu dobrze widocznej o kilkaset metrów Pielasy - zahamowały i zaczęły z nich wyskakiwać „bojcy”. Cichy alarm wśród chłopców „Kotwicza”, rozrzuconych po odległych gospodarstwach, spowodował sprawne zajęcie stanowisk przez obsługi sześciu rkm. Spokojnie obserwowano przez lornetki spoconych „bojców” w sile "odchudzonej" kompanii, gdy milczkiem podkradali się do zabagnionej łąki. Tam oczka wody rozbiły rytmicznie rozstawioną tyralierę i skupiły Sowieców w małe grupki. Wtedy na rozkaz „Kotwicza” otwarto zmasowany ogień.

Jego skuteczność była ogromna. Połowa atakujących - w tym obaj sowieccy dowódcy - padła zabita lub ranna.

Czas płynął, Sowieci czekali - nie wiadomo na co. A Polacy? Gdy do jęku rannych Rosjan zaczęły się co i raz dołączać krzyki postrzelonych żołnierzy AK, do „Kotwicza” zameldował się kpt. „Bustromiak” (ranny tuż obok oka), proponując wycofanie się w kierunku, który uznał jeszcze za nie ogarnięty kręgiem obławy.

„Kotwicz” podobno tak mu odpowiedział:

Mamy kilku ciężko rannych, ja ich nie zostawię. Pozostaniemy tu do wieczora, może uda się w ciemności ich ewakuować. A pan niech weźmie swoich lżej rannych i wycofa się.

I tak się też stało. Gdy kilkunastoosobowa grupa prowadzona przez „Bustromiaka” zniknęła za wzgórzem, żołnierze „Kotwicza” czekali jeszcze godzinę. Wówczas od strony Radunia na szosie dostrzeżono wysoki obłok kurzu.

Ciężarówek było kilkakrotnie więcej niż poprzednio. A wojska - pełny Batalion.

Oddajmy głos sowieckiemu dokumentowi:

Przybyły z odsieczą z dowódcą Grupy Wywiadowczo-Poszukiwawczej 332 zmot. pułku strz. kpt. Szugla i naczelnik rejonowego oddziału NKWD kpt. bezp. państw. Czikin otoczyli miejsce zalegania bandy.

W wyniku 5-godzinnego boju (bandę) całkowicie zniszczono - zabito 53 bandytów w tym 6 oficerów białopolskiej armii, wśród nich komendanta Nowogródzkiego podokręgu podpułkownika Kotwicza, przedstawiciela "Polskiego rządu w Londynie" - rotmistrza Ostrogę, kapitana Jarego i innych. Schwymano do niewoli - 4, w tym łączniczkę i szyfrantkę Wileńskiego Okręgu „Zosię”.

Cytowany fragment meldunku stwierdza, że w boju zginęło 53 "bandytów". Oddział polski był doskonale uzbrojony. Czym więc wytłumaczyć, że z 53 poległych uzbrojony był co drugi? Tak wynika z porównania liczby poległych z liczbą zdobytej broni. Nie ma prawie rannych ani wziętych do niewoli. Czy każda sowiecka kula była śmiertelna? Nie. Z tego, co udało mi się odtworzyć, w całym boju poległo około 18 żołnierzy AK. Co najmniej drugie tyle było rannych. Gdzie się oni podzieli?

Oto co nagrała przed 20 laty na taśmę jedna z ocalałych sanitariuszek, Eleonora Kolendo – „Teresa”:

(...) Ale najgorsze było to, że oni razem ze mną robili obchód placu boju i wszystkich nieżyjących, ciężko rannych i lekko rannych, wszystkich dobijali bagnetami. Wszystkich!

Przecież pamiętam twarz kapitana Hatraka do dziś... On miał taką złotą szczękę i patrzył na mnie przytomnie, patrzył na mnie tak, jakby jemu było mnie żal. Ja to widziałam po jego oczach. Jeden bandzior podszedł i pchnął go bagnetem w bok, tu. Ja tylko widzę jego zęby wyszczerzone, bo on jego walił w brzuch, w klatkę piersiową, ile tylko chciał. I tak po kolei, każdego. Tych jedenastu, co z „Bustromiakiem” poszło, uratowało się.

Ta relacja tłumaczy, dlaczego rannych w meldunku nie było.

Ale i polska strona w swoich raportach także mnożyła straty przeciwnika. Kpt. „Warta” w depeszy do Warszawy podał liczbę 132 zabitych Rosjan. To mnożenie zabitych wrogów, a dzielenie strat własnych, uprawiano chyba ku pokrzepieniu serc. Bo Rosjan zginęło ani nie 18 (jak podają oni sami), ani nie 132 (według „Warty”). Na rynku w Raduniu leżą wszyscy „bojcy”, którzy polegli pod Surkontami plus jeszcze podobno kilku z innych bitew. A jest ich tam ogółem 68.

Na płaskowyżu, w środku chutoru był mały, zapadły cmentarzyk powstańców z 1863 roku. Sowieci zrzucili na stos pościągane trupy i tam ich pogrzebała miejscowa ludność. A jeszcze po tym pochówku, trzykrotnie przyjezdne komisje rozkopywały mogiły i wyciągano trupy sprawdzając, czy na pewno leży tam "bezrukij major". W ciągu kilku następnych tygodni, rodziny potajemnie wykopały paru żołnierzy ppłk „Kotwicza” i przeniosły na swoje cmentarze.

Po wojnie wybudowano tam oborę zarodową na 800 krów. Dwa razy dziennie tysiące racic tratowały zbiorowy grób w drodze na pastwisko i z powrotem.

W 1988 roku podjąłem na łamach "Przeglądu Katolickiego" starania w celu ustalenia jak największej liczby imion, nazwisk i pseudonimów dla większości bezimiennych (jeszcze wtedy) żołnierzy AK.

Gdy w 1990 roku zmieniona została obsada kierownicza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa przy Premierze RP, można było pomyśleć o próbie godnego zakończenia tej makabrycznej profanacji. Pamiętam moje długie rozmowy z przedstawicielami białoruskiego MSZ w Mińsku (byłem wtedy wiceprzewodniczącym owej Rady Ochrony Pamięci), gdy pokazywali mi teczki pełne zbiorowych listów i pytali:

Komu wy chcecie pomniki tu stawiać? Tym mordercom? Gwałcicielom? Współpracownikom gestapo? Patrzcie, co tu do nas pisze dziś miejscowa ludność na wieść o Waszych zamiarach. Przypominam, że był to rok 1990 i 1991. Listy były autentyczne. Pisała je ludność tych siedmiu litewskich wsi otaczających Surkonty.

A jednak nie Ulegliśmy. W początkach września 1991 roku, obok kurhanów powstańczych, stanął zbudowany na zlecenie Rady, przez Fundację Ochrony Zabytków cmentarzyk wojenny, poświęcony ppłk. „Kotwiczowi” i 41 żołnierzom AK. I stoi tam do dzisiaj.



Cmentarz w Subkontach. Pomnik centralny Stan obecny w 2008 r.

W Surkontach zginęło 36 żołnierzy AK: ppłk cichociemny Maciej Kalenkiewicz – „Kotwicz”, kpt. cichociemny Franciszek Cieplik – „Hatrak”, kpt. „Bosak”, rtm. cichociemny Jan Kanty-Skrochowski – „Ostroga”, por. Walenty Wasilewski – „Jary”, por. Stanisław Dźwinei – „Dzwon”, pchor. Henryk Nikicicz – „Norwid”, pchor. Henryk Cywiński – „Wilk”, plut. Franciszek Stankiewicz – „Mikado”, kpr. Kazimierz Ejsmont – „Irak”, strz. Bohdan Bednarczyk, strz. Jerzy Gryszel, strz. Jerzy Kaliciński – „Sinus”, strz. Zygmunt Kaliciński – „Kosinus”, ułan Bohdan Karpowicz – „Sowa”, strz. Jan Kleindienst – „Basia“, strz. Czesław Marszałek – „Żuraw”, strz. Władysław Sperski – „Tolot”, strz. Mieczysław Szeptunowicz, strz. Zygmunt Werkum – „Zima“, strz. Witold Żuk, strz. Henryk Żurawski – „Marabut”, sanitariuszka Eugenia Myszkówna, szyfrantka „Zosia” oraz 11 nieznanymi z nazwiska żołnierzy.



Cmentarz Surkonty, Stan obecny 2008 r.